Rok I. We Lwowie dnia 5. czerwca 1893. **Numer 11.**



PRZEDŚWIT

DWUTYGODNIK DLA KOBIET

wychodzi 5. i 20. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Szeptyckiego l. 31. — **Adres Administracyi:** plac Bernardyński l. 7.
Przedpłata na „PRZEDŚWIT" wynosi: rocznie 3 złr., półrocznie 1 złr. 50 ct., kwartalnie 75 ct. — **Z przesyłką:** rocznie 3 złr. 60 ct. półrocznie 1 złr. 80 ct., kwartalnie 90 ct. **W księstwie poznańskiem i w Niemczech:** rocznie 7 marek, półrocznie 3 marki 50 fenigów, kwartatnie 1 marka 80 fen. — W **Ameryce** rocznie 2 dol., we Włoszech 10 lirów, we Francyi 10 fr. — **Numer pojedynczy 15 centów.** Główna Ajencya dla **Krakowa** i okolicy w księg. **L. Zwolińskiego** i Spki: Kraków, Grodzka 40., **w Poznaniu** w księg. **A. Cybulskiego.** Biuro administracyjne na Kraków u p. **St. Cyrankiewicza, ul. Bracka 5.** — Numera pojedyncze kupować można w biurze dzienników **Plohna** we Lwowie.

Szanownych Abonentów, którzy dotychczas prenumeraty za czas ubiegły nie uiścili, upraszamy o wyrównanie zaległości.

O WYCHOWANIU SERCA.

(Dokończenie).

Przedewszystkiem chrońmy dziecię nasze od dumy i zarozumiałości osobistej. Odsuwajmy mu na lata późniejsze tę smutną prawdę praktycznego życia, że ludzie co do wartości etycznej nie są wszyscy równi sobie, że miłością i względami trzeba prowadzić osobne, oględne gospodarstwo, jednemu mniej, drugiemu więcej serca okazywać.

Niechaj dziecię na razie nie zna innej hierarchii, prócz rodziny. Smutna to rzecz — zaiste — widzieć ładnie ubraną dziecinę, strojącą minkę, rozkazującym tonem przewodzącą nad służącymi — smutniejsza, jeżeli na biedniejsze rówienniki, spoziera ona z pewnym rodzajem protekcyonalności — najsmutniejsza zaś, jeśli między rodzeństwo zakradnie się preferencya. Egoizm dziecięcy wybuja z łatwością w próżność i zarozumiałość, a te prowadzą do ustawicznego upatrywania niższości u drugich. Dziecię, jak każda słaba i nierozumna istota, garnie się do powag domowych — przed temi powagami lubi się chełpić ze swych przymiotów i często grzeczność jego jest jeno brzydką emulacyą z bratem lub siostrą; faryzeizmem, wołającym głośno: Ja nie jestem takim lub taką, jak on lub ona! Dziwna to rzecz, że się rodzice cieszą często z takiej sprzeczności — co gorsza, przyjmują nawet za dobrą monetę wszelkie denuncyacye dzieci, nie wiedząc wcale, że tym sposobem torują im sami drogę do podłości, serwilizmu i upadku moralnego. Dlatego to zbyt częste pochwały jednego dziecięcia na niekorzyść drugiego, są zawsze bardzo śliską i niebezpieczną rzeczą. Baczność więc, wychowawcy!

Pokażcie dziecku niebo, gwiazdami zasiane — oswójcie je z burzą i grzmotem — i mówcie wtedy o Bogu! Zaprowadźcie do kościoła, aby ze złożonymi rączkami przypatrywało się aniołom i Świętym Pańskim! Zwróćcie podczas podróży lub przechadzki uwagę jego, na piękną okolicę, na ruiny starego zamku — pokażcie mu świątynię Pańską na

Wawelu. Zstąpcie z niem, w podziemia onejże i wskażcie mu grobowce królów naszych i tam mówcie o Ojczyźnie.

Nawet zabawom jego nadajcie pewien odcień uczucia — doprowadźcie do tego, aby dla matki zrobiło ogródek, a dla ojca przywiozło gruszek na wózku. Kiedy mu przypaszecie szabelkę do boku, mówcie mu o świetnej przeszłości naszej, o Chrobrym, Kazimierzu Wielkim, Stefanie Czarnieckim, Batorym, królu Sobieskim, Kościuszce i t. d., wpajajcie weń ten animusz rycerski, który naszych dziadów wielkimi uczynił, i uczcie je, jak ma w przyszłości żyć, pracować dla dobra Ojczyzny, wszak: „*dulce et decorum est pro patria mori!*“ Pamiętajmy o tem, że im więcej duszy dziecięcej, damy szlachetnych uczuć, tem więcej nagromadzi się duchowego materyału, gotowego do walki z namiętnościami i popędami cielesnymi. Iskierka ducha może z łatwością przedzierżgnąć się w sługę ciała, ale ciało również łatwo przedzierżga się w sługę ducha. A gdy to nastąpi, natenczas krew gorąca służyć będzie myślom i uczuciom szlachetnym, a siła fizycznej organizacyi — czynowi moralnemu. W przeciwnym razie, rozum, uczucie i wyobraźnia staną się... nędznymi służalcami potrzeb materyalnych.

E. G.

Miłość a Poświęcenie.

Twierdzi dość wielu, że ozdobą życia,
Gwiazdą przewodnią, rozkoszą, radością,
Jest to uczucie, które od powicia
Tkwi w sercu ludzkiem — a zwie się miłością...
I przyznać trzeba, że słuszne twierdzenie —
Że, gdy sam Stwórca miłość wszczepił w serce,
Która poetów ożywia natchnienie,
Która pociesza nas w życia rozterce,
I pierś rycerza zagrzewa do boju —
I twarz dziewicy bladą opromienia —
A nawet starca orzeźwia wśród znoju:
Że... ona przecież wielkiego znaczenia!
Lecz... czy przez wszystkich prawdziwie pojęta?
Czyliż ją często egoizm nie stwarza?
Czy dla każdego tak wzniosła, tak święta,
Jak umysł poety ją sobie wytwarza?
Czy ona zawsze źródłem szczęśliwości?
Czy zawsze daje roskosze wyśnione?
Czy nie zawodzi w pragnieniach młodości?
I czy w lot ziszcza cele wymarzone?

* * *

Mniej znaną światu, jest siostra miłości —
Nie taką sławną, i nie w takiej cenie
Cicha wśród masy olbrzymiej ludzkości,
A nosi skromne imię „Poświęcenie”.
Jak lilia — samotna — żyje pośród świata —
Uśmierza bole, strapionych pociesza,
I jako anioł, co na ziemię zlata,
Pokój i błogość w sercach biednych wskrzesza.
Szczęśliw, kto ceniąc ważność poświęcenia,
Niem się przejąwszy, cały w bliźnich żyje...
Choć się w ofiarę prawdziwą zamienia,
Jak skromny fiołek, przed światem się kryje...
Kto już raz poznał rozkosz poświęcenia,
Temu to życie rajem się wydaje...
Nieznane jemu w życiu zniechęcenia...
Które nam często miłość zwodna daje!..

J. O. z Sielca.

NA CMENTARZYSKU.

NOWELA

E. ZORJANA

(*Ciąg dalszy.*)

Pan Karol został sam. Kipiał w nim gniew, którego stłumić nie mógł czy niechciał. Chodził po pokoju, głośno sam do siebie mówił, odgrażał się, nie wiedząc przeciwko komu.

Na drugi dzień do nikogo słowa nieprzemówił, córce tylko pakować się kazał i nad wieczorem wyjechał.

W małym dworku zrobiło się pusto i cicho. Babka posmutniała bardzo, godzinami siadywała na ganeczku, czasem łzy miała w oczach.

Myślała jakby młodym pomódz, lecz rady nie znajdowała. Na opór ojca zdawało jej się, najlepszem lekarstwem mógł być czas.

— Przekona się — myślała — jak bardzo Mania Tadeusza kocha, żal mu się zrobi, patrzeć na jej cierpienia — pozwoli. Trzeba czekać.

W tej też myśli napisała do Tadeusza pocieszając go, zachęcając do wytrwania i spokoju. Jakże się ucieszyła otrzymawszy odpowiedź, w której jej młody poeta opisywał nadzieje i starania około zdobycia pewniejszej egzystencyi. O lekcye nie było mu trudno, lecz on prągnął więcej, chciał mieć coś pewniejszego, coby niezawiodło w przyszłości.

„Będę robił wszystko — były słowa listu — cokolwiek mi kto każe, bylem tylko miał zapewniony kawałek chleba. Zysków nie pragnę, ale nie mogę skazać mej przyszłej żony na niedostatek. Da Bóg dopnę celu, ludzie życzliwi dopomagają mi

Trzeba się uczyć cierpliwości... ale trudno... inaczej być nie może. Mam wszakże nadzieję, że gdy ojciec panny Marji mię pozna, gdy ujrzy jak seryo myślę o przyszłości, może mi zaufa i los dziecka swego powierzy!..“

Mama do babki pisywała rzadko i w tych listach znać było, że ukrywa myśli, że nie chce opowiedzieć tego co się z nią dzieje. O ojcu niewspominała nigdy.

A jednak listy te były dla babki zupełnie zrozumiałe. Czytała ona pomiędzy wierszami ból, który wywoływała miłość, tęsknota i niechęć ojca. Wyobrażała sobie ile tam cierpieć musiało to dziewczę, które pokochało raz pierwszy, a gorąco. Ojciec zapewne nie oszczędzał córki, sądząc, że udręczeniami wyruguje miłość.

Raz jeden tylko przedarł się w liście głośny okrzyk, pełen bolu i tęsknoty, a to wystarczyło babce za wszystkie opisy i wyznania.

Tadeusz pisywał często, lecz jeszcze nie dopiął celu, do którego dążył. Wyczekiwał rezultatu zabiegów i wstrzymywał się z pisaniem do ojca Mani. Chciał mieć pewne podstawy do proszenia o jej rękę.

Pracował bez wytchnienia dzień i noc.

Pisał, jakby mu z piersi tryskały coraz to nowe źródła natchnienia. Gorączka pracy go porywała, od biórka nie mógł się oderwać; całymi dniami z pokoju nie wychodził, chyba że go do tego koniecznie interesa zmuszały.

Dnie biegły szybko — tęsknota czyniła je nieznośnie długimi. Jedynym lekiem na ten ból serdeczny była dla niego praca. Zdawało się, że w niej czerpał siły.

Z nadejściem zimnej jesieni zjechała babka do Warszawy. Tadeusz co dnia u niej bywał, chociaż krótko. Czuł potrzebę pomówienia z tą, która jak on Manię kochała. Powiernicą była jego serca, myśli, planów i nadziei. Ale długo rozmawiać nie mógł. Żal mu przepełniał pierś, tęsknota wzmagała się, nieraz zerwał się nagle, brał kapelusz i uciekał do domu. Wtedy wschód słońca zastawał go przy pracy, różowił mu skronie, ożywiał zbladłe od trudu i niespania policzki.

Otwierał okno, całą piersią chwytał chłodne ranne powietrze, poił się nim, jak źródlaną wodą i nierozebrany rzucał się na łóżko. Gorączka długo spać mu nie pozwalała. Zrywał się znowu i znowu pracował.

Miał talent istotny, tęsknota i ból podniecały go — tworzył wiele, a wszystko znajdowało poklask nawet u tych, którzy głębi uczucia poety nie rozumieli. Pisma były pełne prac jego, imię na ustach wszystkich przyjaciół literatury. Zaczęto mówić o naszym poecie, który wkrótce sięgnie po wawrzyny nieśmiertelności. Zapowiadano większy poemat i powieść jego a ci co znali utwory poprzednie wyczekiwali z ciekawością ukazania się tych prac nowych.

Tadeusz przerzucając pisma, spotykając się często z własnem nazwiskiem cieszył się, że bodaj w ten sposób może dać znać o sobie tej, którą kochał. Pisywać nie śmiał, lecz w utworach jego mogła ona wyczytać wszystko, czego serce kochające pragnęło. W jednem z pism — wiedział, że ona je ma w domu — zamieszczał ciągle drobne utwory bez tyłułu, gwiazdką tylko u góry naznaczone, a była to spowiedź jego serca, dzień po dniu, godzina po godzinie. Wszystko to dla niej tylko pisał.

Chwili czasu wolnego nie miał. Nieraz dnie całe zabierały mu lekcye, to znów konieczne odwiedziny redakcyi. O szarej godzinie śpieszył do babki, którą sam babcią nazywał. Był przy niej jak dziecko. Opowiadał wszystko, roztkliwiał się nieraz, zwierzał ile już zarobił, śmiał się sam z tego, że nieraz jak skąpiec przelicza pieniądze zamknięte w biórku. Nigdy nie był tak bogatym, nigdy tyle biletów bankowych nie widział razem a jednak nigdy nie czuł się tak biednym.

— Wiele mi jeszcze potrzeba, bardzo wiele... Muszę mieć tyle a tyle miesięcznie, ale pewnie, może zarobię więcej — tego nie chcę liczyć, ale koniecznie muszę dojść do pewnej stałej kwoty...

— Zapominasz pan o siłach..

— O nie, zdrów jestem zupełnie, praca mię leczy, w niej znajduję pociechę i uspokojenie. Wkrótce może mniej będę miał czasu do pracy...

— Dlaczego?

— Mam nadzieję, że dostanę stałą posadę... — zarumienił się.

— Wolno wiedzieć jaką?

— W banku X., jako korespondent...

Babka patrzała na niego długo, w oczach jej mignęło coś jakby łzy.

— Czy to dla pana stosowne?

— O, pani moja, cóżby miało być niestosownego? Potrafię to. Zresztą będę miał zapewniony byt...

Nie odpowiadała długo.

— To może zabić pański talent...

— O, nie! To będzie miła rozrywka, wesół będę wracał do domu, który będzie mi tak drogim jak nigdy... A potem, to konieczne...

Milczeli chwilę oboje.

— Wszak prawda — pytał poeta — że ojciec nie odmówi mi Mani, gdy będę miał stałe, pewne utrzymanie?...

— Zapewne, chociaż wymagać tego nie powinien, Mania nie potrzebuje tego wcale...

— O, proszę tak nie mówić, rumienić się muszę na samą myśl o tem, że mógłby mię kto posądzić, iż dla pieniędzy o nią się staram. Nie chcę od ojca nic, ani grosza, sam zapracuję tyle, ile nam potrzeba...

— Nie myśl o tem tak wiele. Tu idzie o to, ażeby przekonać ojca, że jesteś człowiekiem porządnym, statecznym, że nie dla płochej igraszki mówiłeś o miłości...

— Powinien się dać przekonać...

— Bądź spokojnym, nie martw się z góry... on nie jest złym, uparty tylko.

Poeta czekał na rezultat swej sprawy, poruszał wszelkie możliwe sprężyny, a tymczasem pracował bez wytchnienia.

Pieniędzy istotnie przybywało mu sporo; żył jak dawniej oszczędnie, a składał na przyszłość, na dom, w który miał swą ukochaną wprowadzić. Zapominał o zdrowiu i siłach, których powoli ubywało. Coraz był bledszy, czuł czasami ból w piersiach, lecz sądził, że to z dusznego powietrza w pokoju. Otwierał więc okno i rzeźwił się chłodnym, często mroźnym powiewem. Robiło mu się wtedy lepiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Rodzina Łatkowskich. *(W. Kosiakiewicz, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1893).* Powieść ta, do której tematu zaczerpnął autor z życia szewców, rozwija się najzwyklejszym trybem pracy, obowiązków, dobijania się mienia dla dzieci, dla przyszłości, aż cios uderza w to życie spokojne i rozbija je. Ciosem tym, to oddalenie się ojca od rodziny, zobojętnienie dla niej, dlatego, iż kobieta jakaś lekkomyślna i wyrachowana rozdmuchała w nim namiętności, jakie dotąd na drodze jego życia nie budziły się wcale. Jedyna pociecha matki, to dorastające dzieci, z których syn najstarszy odczuwa głęboko jej krzywdę i pragnie życiem własnem, pracą, miłością, nagrodzić krzywdę matki, otoczyć ją szczęściem. Czy mu Bóg pozwolił dopiąć tego, nie wiemy, bo na tem się powieść, raczej nowela urywa. Całą zaletę tej książki stanowi realna prawda, naturalne, bez wszelkich akcesoryów poetyckich odwzorowanie powszedniego życia. Nic cię tu nie podnosi czytelniku, nic nie zachwyca, czytasz powieść spokojnie, bez wrażenia, aż dopiero w punkcie przesilenia tego opowiadania, oburzasz się na bezzecność Łatkowskiego. Tyle o książce. Wydana jak wszystkie publikacye Gebethnera, nader starannie. Cena 80 kopiejek.

Dzidzia *(Zofia Kowerska, nakład Gebethnera i Wolffa).* Mamy przed sobą cztery piękne nowele, z których tytułowa jest najdłuższą. We wszystkich najmilej dźwięczy struna prawdy życiowej i siła uczucia i stanowi główną ich zaletę. *Dzidzia* to hrabianka, ktorej korepetytorem jest akademik skromny, pracowity, kochający się w niej, ale niczem nie zdradzający tego. Jemu się zdaje, że samem wyjawieniem czegoś podobnego przed nią, jużby ją obraził. Gdy tymczasem oryginalna dziewczyna mowi mu, iż gdyby kochała, nie wahałaby się do tego przyznać. On jej robi uwagę jako swej uczenicy, że godność kobieca na to pozwolić nie powinna. Pojęła naukę. Choć ojciec jej, zacny bardzo obywatel bez ustanku wszystkim młodym ludziom tego biednego akademika stawia za przykład, Dzidzia żąda dowodów odwagi z jego strony, a gdy i odwagę bohaterską okazuje, jest jej za nieśmiały, za spokojny, nie objawiający tego, co czuje. Tymczasem zacny jej ojciec opiekuje się młodym człowiekiem, przestrzega go, że praca nad siły nie przynosi pożytku, wyczerpuje ciało, które mści się za to, odejmując umysłowi jego lotność i żywość. Wydrwiwa innych młodzików z wielkopańskimi aspiracyami, o których mówi: „Z siebie dla innych nic... a żądanie dla siebie wszystkiego od innych". Dużo się nacierpiał, ale w końcu zdobył to, o czem nie śmiał marzyć. Dzidzia go pokochała. „*Lew i mysz*" to dzieje zwykłe... Ubiegają się matki dla swych córek o młodego księcia, w którego sercu tkwi miłość dawna do kobiety kapryśnej, bez granic... aż przekonanie o jej egoizmie i o braku gorętszego dlań uczucia leczy tego lwa, któremu przysługę wyświadczyła myszka, niegdyś przez niego uratowana. Znalazł w niej to, czego szukał. Następują nowele: *Bezdzietni* i z *Poezyi szpitala.* Trochę z początku ta ostatnia pozytywizmem trąci, ale tem jaśniejsza a później nad opiewanym wypadkiem rozbłyska tęcza poezyi, piękna i prawdy. Zbiorek ten, to miła wiązanka dla tych, którzy pragną kwiatów dla duszy po ciężkiej pracy.

Obrazek z Paryża.

Poranek na przedmieściu Montmartre.

Od połowy marca, wiosna na dobre tchnieniem swem wionęła, ogarniająco Paryż atmosferą rozkosznie ciepłą i jakby kłębami niebieskiego kadzidła lekko omgloną.

Nigdy Paryż nie jest piękniejszy jak wiosną. Nigdy mój widok z balkonu nie jest mi milszy, jak o tej porze roku. Co chwila też rzucam tam okiem, karcąc się następnie w myśli surowo, bo czasu tracić nie wolno.

Ranek jest zwłaszcza dla mnie niebezpieczny. Wstaję o godzinie szóstej i natychmiast otwieram okno, bo tak wymagają przepisy hygieny, a mając dzieci, staram się o ile sił starczy, być dobrym dla nich przykładem, nie tyle w słowach, co w czynach. Lecz, oto okno otwarte już mnie swym czarem przykuć się stara, ukazując gdzieś w dali, poza okopami Paryża, mgły białe i gęste przy ziemi, stopniowo coraz bardziej przeźroczyste wreszcie z niebem się zlewające w całość. Zasłoniwszy choćby ręką pierwsze plany obrazu, złożone z domów, fabryk i przedmieść Paryża, ścielących się u podnóża góry Montmartre, na której szczycie balkon mój się mieści, mam pejzaż morski, coś w rodzaju obrazów Whistlera, i to codzień inne, bo oświetlenie zmienia zupełnie charakter obrazu.

W około domu, gdzie mieszkam, ciągną się place nie zabudowane, krzyżują się ulice, jedne biegną ku dołowi do miasta, inne suną wzdłuż wzgórza, a jeszcze są i takie co pną się zuchwale na sam szczyt pagórka ku wzniesionej już prawie świątyni Sacré-Coeur — lecz te, przystępne są tylko dla pieszych w znacznej części bowiem utworzone są ze schodów i tarasów. Taką jest zwłaszcza ulica, charakterystyczne nosząca miano; *rue du Mont Cenis.* Krzyżuje się ona przed moimi oczami z długą, szeroką, drzewami wysadzoną ulicą Coulincourt, zataczającą się w swym biegu, by w pół okrągło objąć północną, zachodnią i południową stronę wzgórza Montmartre.

Około godziny siódmej, rozlega się echo ciężkiego wozu, toczącego się zwolna, ospale. Huk wozu monotonny, urywa się chwilowo i znów łomot wszczynając coraz głośniejszy bo bliższy milknie, i tak ciągle głośniej i bliżej, powstrzymywany co chwila nawoływaniem głosów ludzkich przeciągłych, czasami wrzaskliwych. To wóz miejski zbierający śmiecie wystawiane w skrzyniach przed każdem domostwem. Uwija się koło niego kilku mężczyzn uzbrojonych w widły i łopaty, a jedna lub dwie kobiety w chustkach kolorowych na głowach, w ciężkich trzewikach lub sabałach, z olbrzymiemi miotłami w ręku, zamiatają ulicę, postępując tuż za wozem i podając mężczyznom nagromadzone śmiecie na łopaty i widły. Stuk wozu oddala się wreszcie i cichnie zupełnie, a wtedy zmienia się wszystko w nową, odświeżoną formę. Woda puszczona z kranów szemrze strumykami czystymi, spłukując w swym biegu kamienie uliczne. Dzięki spadzistości ulic płynie tak szybko, jak górskie potoki. Na ulicy Mont-Cenis bieży z szybkością zadziwiającą, — jest nawet jedno miejsce o kilkumetrowym spadku prawie prostopadłym, tam strumyk przybiera postać kaskady. Całe wzgórze szmerem wody ożywiane, odświeżane, pod wzmagającymi się w sile promieniami słońca, nabiera tonów wyraźniejszych, gdzieniegdzie jaskrawych, a wiosenna zieloność, wychylających się zewsząd ogrodów, nabiera barwy łagodnej lecz żywej, stanowiąc tło nieporównanie piękne, na którem odbijają się bogate kity rozkwitłych bzów, dziś w całej pełni swej urody.

Wesołe pianie kogutów i gdakanie kur dochodzi

z zakątków podwórzowych domostw biedniejszych, a przeciągła melodya piszczałki dalekiem echem, potem wyraźniej i piskliwiej płynie z odcieniem rzewności naiwnej i sielskiej wzdłuż ulicy Coulaincourt. To pasterze w malowniczych wielkich beretach na głowie wiodą stadka kóz wystrzyżonych, wyczesanych, wymytych a raźno skaczących na przekorę psom, strzegącym ich ku pomocy wspólnego im pana. Kozy te, niosą w swych wezbranych wymionach mleko, dla wielu paryżan młodych i starych. Zatrzymują się przed domami gdzie mieszkają pacjenci skazani przepisem doktora: „rozpocząć dzień od szklanki świeżo udojonego mleka!" Często wraz ze stadami kóz, dążą drobnym truchtem, wyprzedzając je szybko stada również wymytych wystrzyżonych oślic, strojnych w czerwone, krzyżujące się na piersiach i grzbiecie paski skórzane z mnóstwem dzwoneczków. Również jak kozy i one dostarczają mleka dla wycieńczonych pracą lub rozpustą paryżan. Wesoło rozbrzmiewają te zmięszane odgłosy, łącząc się po zieleni pełnem wzgórzu Montmartre, świergotaniem hałaśliwem wróbli i przeciągłym śpiewem kanarków, witających dzień radośnie a zdala, ze stron wszystkich, widnieją na piaskowego koloru ulicach migające ciemne sylwetki ludzkie, śpiesznie dążące ku miastu do pracy.

Dziś między siódmą a ósmą godziną, uczenicom moim przydzieliwszy robotę, wyszłam według zwyczaju na balkon pościel przewietrzyć, by ochłodzoną i odświeżoną należycie przygotować do wieczornego spoczynku. Rzuciłam okiem w dal. Ciężkie przed godziną białe pary tuż nad ziemią osiadłe, już tylko mgłą były, a niknąc ku górze, dozwalały dojrzeć pierwsze szeregi pagórków pozamiejskich. Znany mi dokładnie lasek i wioski na nich rozsiane nie występowały jeszcze wcale. Pagórek Marsa był jedną, olbrzymią masą postać góry przybrawszy.

W tem drgnęłam. Ponad moją głową rozległ się głos niecierpliwy: „Madame Pierre!" Zrozumiałam, iż to nie kto inny być może, tylko sąsiadka, która zajmuje takie jak ja mieszkanie, z tą tylko różnicą, iż ja mam balkon ten miły i zajmuję piąte piętro a ona szóste.

Ponieważ nie nazywam się „Madame Pierre" a zatem nie zwróciwszy nawet głowy, patrzałam dalej na widok, rada w duszy, że mam chwilową wymówkę, nie śpieszenia się do własnego zajęcia. Wszak trzepanie pościeli mogło przeszkadzać sąsiadce chcącej wyraźnie z kimś rozmawiać? Przez uprzejmość czy przez lenistwo... może z połączenia jednego i drugiego razem stałam cichutko i w dal z lubością patrzałam. Głos sąsiadki coraz donośniej rozlegał się temi samymi dwoma wyrazami.

Głos inny, cienki, nieśmiały, odezwał się z dołu, z ulicy: „Dzień dobry pani Trochu, dzień dobry!" Na co sąsiadka moja pani Trochu, opryskliwie zakrzyknęła: „Dzień dory, ale nie o dzień dobry mi tu idzie; dla czego wczoraj nie odniosłaś mi pani roboty? Kiedy tak, to proszę na mnie nie liczyć więcej, wezmę kogo innego!" Głos z dołu: „O pani Trochu! nie rób pani tego, pani Trochu!... jęczał coraz pokorniej głos biednej pani Pierre na dole. Lecz energii pełnym ruchem sąsiadka okno zamknęła i po chwili usłyszałam przyciśniony turkot jej maszyny do szycia, wciąż, od rana wczesnego, do późnego wieczoru, wartko furczącej.

Moja sąsiadka ma lat około trzydziestu. Jest przystojna, choć pracą zniszczona, ma męża, którego czasami spotykam na schodach w mundurze stojkowego, ma dziecko kilkuletnie, którego płacz krzykliwy czasami uszu moich dolata. Szczegółów tych o sąsiadce, dowiedziałam się mimowoli skutkiem blizkości mieszkania, lub też dopełniła je ona sama, gdy raz wśród zimy zeszła do mnie z zapytaniem: Czy kran z wodą i w mojej kuchni jest zamarznięty. Powiedziała mi jeszcze, że to wielka strata czasu schodzić na dół po wodę, zwłaszcza teraz, kiedy ma dużo roboty. Zdawało mi się że powinnam się odezwać, więc zapytałam „A jaką pani ma robotę?" Robię sukienki dziecinne do magazynów, mam coraz większe obstalunki, — dodała z zadowoleniem. — Teraz, już dwom kobietom oddaję robotę zbywającą. Ale chciałabym przynajmniej mieć zajęcie dla dziesięciu. Możnaby wtedy trochę odpocząć." — „A jaki ma Pani zysk na każdej robotnicy dziennie?" zapytałam. „Od trzech do pięciu susów." Na tem się skończyła rozmowa.

Dziś, będąc mimowolnie świadkiem nieporozumienia Pani Trochu z biedną panią Pierre, zagrożoną utratą roboty, co wielce dotknąć ją musiało, sądząc po jęku i skargi pełnym głosie, jak również po smutnie pochylonej postaci, gdy jak zwierz ranny lub obity, pokornie oddalała się, spuszczając w dół ulicy, szczegóły rozmowy mojej z sąsiadką przemknęły mi w myśli. I znowu chwilę stałam na balkonie jakaś smutna i już na krajobraz nie patrząca, chociaż z oczami weń utkwionemi.

W tem okno znów się otworzyło w zagłębieniu dachu ponad moją głową i posłyszałam słowa do mnie tym razem skierowane: „Dzień dobry pani! czy ona weszła na schody, by do mnie przyjść, czy też poszła?" „Poszła" odpowiedziałam, ale powstrzymać się nie mogłam, by nie dodać: Czy pani naprawdę odmówi jej roboty nadal?" Sąsiadka uśmiechnęła się poczciwie i rzekła: „Naprawdę. Widzi Pani ona młoda jest, to odda jej usługę, gdy będzie wiedzieć: *że pracę trzeba szanować*. Wczoraj była niedziela i ładna pogoda, najniezawodniej poszła na spacer, zamiast wziąć się do szycia. Ale i ja wolałabym spacerować, chociażby raz na tydzień, a rzadko to robię. Idę na spacer jak nie ma roboty. Ale teraz na wiosnę myśleć o spacerach nie można. Trzeba je odłożyć na lato, gdy wszyscy zaopatrzeni w ubrania letnie, jeszcze o zimowych sukniach myśleć nie będą. Tak, tak, niech się pani Pierre nauczy szanować pracę. Życzę, by jej dzisiejsza lekcya posłużyła, lecz sama za nic już jej niezawezwę do roboty. Do widzenia!" i zawarkotała wraz maszyna do szycia sąsiadki.

Nina.

Wiadomości bieżące.

Stowarzyszenie nauczycielek we Lwowie, ogłosiło sprawozdanie ze swej rocznej działalności. Jasno widzimy z tego, że w bardzo krótkim czasie skupiły się tu takie siły, które zapewniają towarzystwu rozwój pomyślny—dziś już liczy ono przeszło 250 członków. Stowarzyszenie pracuje nad utworzeniem schroniska dla nauczycielek — a obecnie już rozporządza biurem, biblioteką, czytelnią i schroniskiem tymczasowem.

Szwedzka powieściopisarka Kamilla Collet obchodziła bardzo uroczyście ośmdziesiątą rocznicę swych urodzin. Naród cały tego dnia (12 kwietnia) uczcił tę, która od najmłodszych lat pracowała z myślą o nim, wyrzekała się modnego i wesołego świata a oddawała się pracy poważnej. Słusznie jej też wypowiedziały kobiety w swym adresie: „Wzorem nam jesteś, jak należy żyć kobiecie, czcząc te cnoty, które są koroną jej głowy i przez które może ona jedynie zapewnić sobie szczęście, bo szacunek i miłość ludzką, a zarazem tę zasługę najwyższą, że pokolenia przyszłe mieć będą w niej wzór do naśladowania. Henryk Ibsen napisał do niej: „Dostojna pani możesz w dniu tym uroczystym, spojrzeć poza siebie z dumą i zadowole-

niem, gdyż pracowałaś owocnie a mam nadzieję, pracować będziesz długo jeszcze bo silne, gorące uczucia dają duchowi ludzkiemu młodość wieczną. Przez myśli, przez pojęcia swoje stoisz dotąd w szeregu tych, którzy naprzód idą, więc postęp tworzysz. Norwegia to wie i liczy cię zawsze do szeregu swoich rycerzy ducha!"

Ten sam poeta na uczcie wieczornej, którą wydała na cześć jubilatki młodzież, prowadził ją do stołu i przemówił, znowu w toaście na jej cześć wzniesionym, o obowiązkach kobiety.

List z Ameryki.

Chicago w maju 1893.

Cały nasz świat amerykański zajęty jest obecnie wystawą kolumbijską, tym istnym jarmarkiem 45 narodów. Otwarcie wystawy odbyło się 1. maja. Wystawa zajmuje 700 akrów t. zw. Jackson Park, zapełnionego olbrzymiemi budowlami — a wszystko wśród wonnych krzewów i kwiatów najrzadszych, najwyszukańszych. Program otwarcia wystawy skromny i miły, bo więcej tu melodyi i modlitwy, aniżeli ogłuszającego huku armat, jak to się praktykuje w państwach monarchicznych, które prochem i przestrachem manifestują swoją potęgę...

Najwspanialszym wśród pawilonów jest „Pałac kobiet", który od planu do ostatecznego wykończenia wzniosły ręce kobiece. W gmachu tym mieszczą się przedmioty wyrabiane przez kobiety z całego świata. Przy otwarciu wypowiedziała pani Potter Pallmer przekonanie, że Amerykanki, stojące na czele kobiet pracujących i pragnących zapewnić sobie samoistne stanowisko społeczne, przez pomieszczenie w pałacu wyrobów pracy kobiet ze starego świata, pragną w ten sposób podać rękę kobietom z kontynentu i zachęcić je również do pracy produkcyjnej, oraz, by kobiety europejskie łączyły się w korporacye i wyjednały sobie głos stanowczy w państwie i administracyi kraju. „Pałac kobiet" mieści niezliczone i zdumiewające okazy pracy kobiecej. Tkaniny przeróżne, gobeliny, drogocenne materye, złotem bramowane — dalej wyroby metalowe, introligatorskie, koszykarskie, a między tymi ostatnimi uwagę powszechną zwraca kareta pleciona z korzenia, mająca niezrównaną lekkość. Kwiaty zdumiewają. — Na wystawie sztuk pięknych prym trzymają kobiety europejskie.

Czołem uderzyć trzeba przed tą pracą kobiecych rąk i głów dotąd za bardzo słabe mianych.

Drugą sprawą, która tu mocno zajmuje umysły a szczególniej polskie, jest traktat z Rosyą. Z treści jego dowiadujemy się, że polityczni przestępcy nie będą wydawani — a tylko sprawcy zamachu na życie cara i jego rodziny, a także i ci, którzy za fałszywymi paszportami opuścili ziemię cara i przybyli do Ameryki. (!)

Pytamy się, czy może być więcej wyrafinowany podstęp? Bo i kiedyż, którykolwiek konspirator opuszcza kraj swój z legalnym paszportem? To też oburzenie przeciw traktatowi wzrasta. Rząd stanu Ohio wypowiedział swe niezadowolenie, które wysłał do Washingtonu. Nie dajmy się łudzić — że już zapóźno — naród może zmusić swój rząd do modyfikacyi traktatu, nawet już po jego ratyfikacyi. Zbierajmy podpisy i rozsełajmy. Wszak nasza konstytucya przed stu laty gwarantowała każdemu człowiekowi wolność w słowach: „Ogłaszamy i oznajmiamy wszystkim, iż każdy człowiek, przychodzący do Polski, z jakiejkolwiek strony świata, albo wracający z poza granic, gdy tylko wstąpi nogą swoją na terytoryum naszej Rzeczypospolitej jest wolny."

Z dumą to powtarzamy przeciw traktatowi protestując.

Polak.

Co mówił poseł Okuniewski o kwestyi kobiecej?

Rzeczą to jest zupełnie naturalną gdy w czasie dłuższego spokoju wewnętrznego, duch ludzki zwraca się do spraw społecznych i ekonomicznych, a obecnie rozumie się i do t. zw. kwestyi kobiecej. Nie zaprzeczam wcale, iż powołaniem kobiety jest życie w rodzinie, jako podstawa społecznego i państwowego porządku.—Jednakże wysokiemu powołaniu matki rodziny, odpowiedzieć może każda tylko wtenczas, gdy ilość mężczyzn równa jest liczbie kobiet i jeśli państwo swym ustrojem nie stawia temu przeszkód, albo jeśli chociaż przy niewielkiej zwyżce kobiet niezamężnych, porządek ekonomiczny domowej produkcyi jest tego rodzaju, że te kobiety mogą być zajęte w domach prywatnych i gospodarstwach. Gdy wszakże statystyka ostatnia z 1890 r. wykazuje, że na 3,260.438 mężczyzn przypada 3,347.385 kobiet, gdy następnie na 65.639 wdowców przypada aż 226.795 wdów gdy państwo odbiera możność małżeństw licznemu stanowi duchownemu, przez akceptowanie celibatu, gdy od oficerów żąda wysokiej rangi, gdy państwo wzywa do swej służby ludzi młodych, nie dając im należytego utrzymania tak, że ci wszyscy praktykanci sądowi, podatkowi itd. nie mogą się żenić z powodu braku utrzymania dla żony, gdy maszyny i fabryki zastąpiły pracę rąk kobiecych więc i one same po domach stały się zbyteczne a tymczasem środków do życia coraz mniej i mniej, gdy to wszystko zważymy, to przyjdziemy choć w części do tego przekonania, że dola kobiety jest okropną, tem okropniejszą, że jej świat obiecywał w młodym wieku, iż będzie szczęśliwą i drugim da szczęście a tymczasem rzeczywistość nietylko szczęścia, ale nawet chleba jej nie daje.

A niebyłoby jeszcze tak ciężko, gdyby ustrój państwowy, stający się przeszkodą do małżeństw zarówno dotykał wszystkie stany: arystokratyczny, włościański, średni urzędniczy i robotniczy. Wtedy bowiem nie cierpiałby jeden tylko stan, ale wszystkie. Lecz tak nie jest. Wszyscy ci księża, oficerowie, urzędnicy przynależą z reguły do stanu średniego i z tegoż mogliby brać sobie żony. Wskutek tych przyszkód tysiące dziewcząt prawie wyłącznie ze stanu średniego, zostaje na łasce i niełasce swych rodzin.

Temu losowi podpadają tysiące takich dziewcząt, dla których zamążpójście jest zarazem kwestyą życia; kiedy włościanka lub robotnica, zapracować sobie może na swoje utrzymanie, arystokratka tego nie potrzebuje, bo ma swój własny majątek, kobieta stanu średniego nie ma ani majątku, ani jej nie nauczono zarabiać. Nie pierwsi podnosimy sprawę wyższego kształcenia kobiety. W Ameryce, gdzie przypada jedna kobieta na 10 mężczyzn, istnieje teraz do 2000 lekarek, a 18.000 studentek różnych szkół wyższych. Tam zajęte są kobiety w municypiach, są lekarkami, sędziami pokoju, adwokatami. W Szwajcaryi 1861 była w Zurychu zaledwo 1 kobieta na uniwersytecie w 1867 r., oprócz Rosyanek przybyły 2 Angielki i jedna Austryaczka. Dziś jest Rosyanek 90 a wszystkich uczenic 114.

W Bernie r. 1884, gdy otworzono uniwersytet zapisało się odrazu 42 uczenic. W Rosyi dopuścił Aleksander II. kobiety do studyów filozoficzno-historycznych, farmaceutycznych, felczerskich, lekarskich.

Obecnie spełnia 350 kobiet tam obowiązki lekarzy a już prawdziwie humanitarną misyę spełniają one między Kirgizami, gdzie religia zabrania oglądać chorą kobietę mężczyźnie; znakomite usługi oddają Angielki lekarki w swym kraju i na wschodnich Indyach, gdzie się nawet przyczyniają do rozszerzenia chrześcijaństwa. W swoim kraju zajmują się prócz tego ulżeniem doli więźniów, mają swych reprezentantów we wszystkich działach nauki ścisłej a w ostatnich czasach walczą o polityczne prawa. Jakże nam daleko do tego!

W Szwecyi medyczny fakultet dopuszcza kobiety już od r. 1870 do studyów a to na podstawie rozporządzenia królewskiego.

W Holandyi ustawą z 29 kwietnia 1867 dopuszczono je do aptekarstwa, a pod hasłem: *„praca uszlachetnia!“* zawiązano towarzystwa ku popieraniu przedsiębiorstw przemysłowych i wyższych studyów dla kobiet. W Węgrzech są kobiety kasyerkami na wszystkich kolejach, w najnowszych czasach rzuciły się do stenografii, domagając się, by je jako stenografki dopuszczono do parlamentu. — Sprawa ta wszakże upadła.

W Niemczech już stanowczo w parlamencie mówią o dopuszczeniu kobiet do uniwersytetów.

Oto co mówił w tej sprawie niemiecki poseł Szreder. — Jest mniemanie, iż obecny nastrój wykładów po uniwersytetach nie nadaje się dla kobiet. — Sądzą także niektórzy, iż pobyt kobiet na uniwersytecie dla samychże studentów będzie niebezpieczny. Tymczasem praktyka wcale tego nie wykazuje. W Ameryce i w Anglii, i gdzie przecież tak samo dbają o dobre obyczaje jak i u nas, znajdują się kobiety ze studyami o wspólnych wykładach. Profesorowie są ze słuchaczek więcej zadowoleni, niż ze słuchaczów, gdyż są o wiele pilniejsze i gorliwsze i to w każdym wydziale, nawet w matematycznym. Któż np. nie słyszał o sławnym profesorze matematyki pani Kowalewskiej? Sam zaś pobyt kobiet w uniwersytetach wyrugowałby niejedno nadużycie dotychczasowe stamtąd. Współzawodnictwo między studentkami a studentami uniwersytetów w Anglii wydaje znakomite rezultaty. Wpływa to nawet na życie towarzyskie, które naturalnie o wiele jest dzielniejsze, są poziomy umysłowości kobiety i mężczyzny zrównane. A jakimże skarbem dla rodziny jest taka wykształcona kobieta, jeśli naturalnie chce stworzyć sobie rodzinę. Francuska, oddawna znaną była jako lekka, próżna a bez wykształcenia należytego. Już sam kodeks napoleoński stawia ją niżej od mężczyzny a daje mężczyźnie wolny patent na uwodzenie dziewcząt i t. p. Podług tego kodeksu kobieta to tylko służebna społeczna. — Poniżenie takie i pokrzywdzenie starała sobie Francuska wynagrodzić kokieteryą jako bronią, podającą owe ustawy w wątpliwość. Wszystkie jej usiłowania skupiły się około podobania się i czarowania, przy pomocy żurnalów i koronek. — Słusznie taką kobietę nazywa Lew Tołstoj panią — niewolnicą. My kopiujemy ten wzór kobiety francuskiej.

Dziś już i we Francyi inaczej, już dawno tam dopuszczano kobietę do uniwersytetu, słowem po całej Europie ruch się rozpoczął, z wyjątkiem *Turcyi* i *Austryi!* A i nas ruch ten porwie szybciej, niż sami sądzimy, pomimo naszego lenistwa. Dowodem tego ruchu jest choćby ten fakt, że ich obecnie 2450, nie wspominając już o telegrafistkach, telefonistkach, ekspedytorkach pocztowych.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Łuka — Ułan — Kain — Anna.

Może odgadłam tę krótką szaradę,
Na którą odpowiedź, również wierszem kładę:
Pierwsze to: „bo“ — drugie zaś „a“.
Co zimno, wówczas zamożne kobiety,
Stroją się w boa, dla fantazyi więcej,
Jak dla pożytku. Lecz zwie się niestety
Też tak wąż jeden w krajach, gdzie goręcej.

Józefa Orzechowska.

Zadanie.

	a				j
1	a	i	i	i	j
	e				j
2	e	g	o	o	k
	e				k
3	e	r	r	r	k
	e				m
4	g	s	s	s	m
	i				n
5	i	s	u	z	n
	i				

Litery powyższe tak ułożyć, żeby poprzecznice drabiny z obu stron na dół odczytane dały nazwisko poety i utwór jego. — Szczeble zaś: 1. Kanały komórek roślinnych. 2. Nazwę bożka słowiańskiego. 3. Zwierzęta. 4. Nazwisko astronoma florenckiego. 5. (wspak) Strój wieśniaka.

Korespondencye Redakcyi.

WP. J. O. w Sielcu. Takie ogłoszenie kosztuje za każdy raz 50 ct. Na wakacye nawet chętnie mieszkaniem służymy bezinteresownie.

☛ **Do dzisiejszego numeru dołącza się szósty arkusz ENCYKLOPEDYI GOSPODARSTWA I PRZEMYSŁU DOMOWEGO.** ☚

Odpowiedzialna redaktorka: **Janina Sedlaczkówna.** *Wydawca:* **Bolesławicz.**

Z DRUKARNI EDMUNDA OSTRUSZKI WE LWOWIE, UL. SYKSTUSKA L. 10.